

Emigracja to huśtawka emocji

Z przerażeniem patrzę na Polskę, jak w zawrotnym tempie z państwa stawianego jeszcze dwa lata temu w Europie za wzór staje się obiektem drwin i politowania poza jej granicami. Z bólem odbieram wydarzenia nie do pomyślenia w cywilizowanych, demokratycznych krajach.

Moje nastroje i ostrzeżenie...

...Polski z daleka ulegało zmianom od lat, w zależności od sytuacji politycznej. Z wyjątkiem jednego – mojego poczucia tożsamości. Wbrew oburzeniu ze strony niektórych „prawdziwych patriotów”, nigdy nie uważałem siebie za nikogo innego tylko za Polaka. Tak mi się życie potoczyło, że jego dotychczasową większość spędziłem poza granicami Polski. Od końca lata 1981 r. mieszkalem w Stanach Zjednoczonych, obecnie od ćwierćwiecza w Kanadzie. Zewsząd Polska wzbudzała głębokie emocje. Już jako dziecko, później dorastający chłopiec podczas pierwszej swojej emigracji, w ówczesnej Unii Południowej Afryki (obecnie RPA) co noc śniłem o powrocie do kraju, z którego wyjechałem, mając 10 lat. Z dziecięcą naiwnością, pomimo świadomości o panującym tam terrarze stalinowskim, idealizowałem Polskę, wszystko wydawało mi się tam cudowne, wspaniałe, bo tam wychowywałem się do wieku 10 lat. Kiedy wspominałem lata pięćdziesiąte – lata mojego dorastania – na myśl przychodziły przede wszystkim usilne zabiegi matki, by wychować mnie na obywatela w duchu polskim. Staciała ze mną boje, bym czytał polskie książki, poprawiała błędy językowe i ortograficzne, podkreślała piękno mowy ojczystej. Uczyla polonijną młodzież literatury i historii Polski, a we mnie wszczepiała miłość i szacunek dla kraju, do którego kiedyś, jak mówiła, Bóg pozwoli nam powrócić. Wychowywała mnie w kulcie dla ojca, który zginął w Katyniu jako oficer rezerwy. Nigdy nie słyszałem, by sama o sobie użyła określenia: „patriotka”. Przeciwnie, wpajała mi, że to słowo niesie w sobie wysoką ocenę człowieka i nie należy tak samego siebie określać. „Ktoś tak może o tobie powiedzieć, ale ty sam o sobie – nigdy”. W tych latach po jeszcze bardzo niedawnej wojnie, jeśli coś łączyło Polaków tam zamieszkałych, to ogólny nastrój „przeczekania”, żeby wrócić do wolnej Polski. Ciągle jeszcze wierzyło się, że ten powojenny podział świata jest tymczasowy. Racja, wieczny nie był, ale znacznie dłuższy, niż się spodziewano.

Zapytałem ją, dlaczego, skoro tak bardzo kocha Polskę i chce, bym pozostał Polakiem, zdecydowała się

na emigrację. Odpowiedziała, że chciała mi oszczędzić tego, czego sama doznała i co zaczynało odżywać gdzieś w powojennej Polsce. Opowiedziała mi o gettach ławkowych na uniwersytecie, o podłych ludziach, którzy w czasie wojny dorabiali się na szantażowaniu i wydawaniu ukrywających się Żydów. O zamordowaniu prezydenta Narutowicza przez fanatycznego antysemitę, którego później niektórzy kreowali na bohatera narodowego. Zawsze jednak powtarzała, że uogólniać nie wolno, że każdy naród ma swoje lepsze i gorsze karty, o których należy szczerze i otwarcie mówić, ale zawsze być dumnym z tych dobrych, których jest zdecydowanie więcej. Te wszystkie wydarzenia wpłynęły na decyzję przyjęcia namowy sprowadzenia nas tam przez rodzinę zamieszkałą od czasów przedwojennych w Johannesburgu, która nas odnalazła. Po czterech latach starań uzyskała dla nas legalny wyjazd.

W Afryce Południowej wśród Polonii antysemityzm nie istniał. Polscy arystokraci żyli w przyjaźni z bogatymi polskimi Żydami, którzy im po wojnie pomagali się tam osiedlić. Jeśli ktoś odczuwał potrzebę ducha pogardzania kimś innym z pobudek rasowych, to obowiązujący w tym czasie system apartheidu w pełni zadowalał te ciągoty.

Na fali przemian

w kraju po październiku 1956 r. ogarnęła mnie romantyczna i intensywna tęsknota. Ja po prostu musiałem tam być! Moja matka długo miała opory przed powrotem, lecz w końcu uległa mojemu entuzjazmowi i w marcu 1959 r. rozpoczęliśmy nowy etap życia w Warszawie. Przez następne dwadzieścia dwa lata dzieliłem losy wszystkich zwykłych mieszkańców Polski.

Po ukończeniu studiów na Politechnice Warszawskiej przez cztery lata pracowałem jako technolog w ówczesnej Fabryce im. K. Świerczewskiego na warszawskiej Woli, zanim przeszedłem do pracy badawczej w Instytucie Mechaniki Precyzyjnej. Ożeniłem się, urodziły mi się dzieci. W pierwszej pracy próbowano raz bezskutecznie namówić mnie na zapisanie się do partii. Świadomy byłem hipokryzji władzy, ale nie sądziłem, że pod tym względem może się coś za naszego życia zmienić. Czuliśmy się jednak u siebie. Tego nie zrozumie nikt, kto nie przebywał na emigracji: odczuwałem dziwną przyjemność i nawet dumę z tego, że w tramwaju wszyscy dookoła słyszą, że ja do swoich dzieci mówię po polsku, tym samym językiem co oni.

Nikt mnie nigdy nie prześladował z przyczyn politycznych ani z powodu pochodzenia. Antysemityzm istniał podskórnie u niektórych ludzi i czasem

spotykałem się z nim pod postacią głupek docinków i szeptanych sensacji, jak usłużne informowanie innych, kim ja „naprawdę” jestem. W 1968 roku byłem biernym obserwatorem nagonki na „syjonistów”. Ubolewając nad tym, że świat patrzy na Polskę, nie brałem tego zbyt mocno do siebie, ale jednak trochę się obawiałem, że mogą mnie zwolnić z pracy. Nic takiego się nie stało, nawet dostałem awans na starszego technologa i podwyżkę.

Słyszałem czasem, że „skoro jesteśmy pod nową okupacją”, naszym obowiązkiem jest pracować jak najgorzej, bo w przeciwnym przypadku stajemy się kolaborantami. Starając się pracować, w moim pojęciu uczciwie, nie miałem uczucia, że tym samym wspieram obcą mi ideowo władzę. To był mój kraj i chciałem, żeby eksport dobrych wyrobów przyczyniał się do poprawy sytuacji ekonomicznej potrzebnej wszystkim. Chodziłem do kościoła, ponieważ kościół wówczas przemawiał głosem diametralnie innym od tego, jaki płynął ze strony władz. Oglądałem kapitana Klossa i „Czterech pancernych”, zdając sobie sprawę z fałszu historycznego. Chłonałem z fascynacją trzy tomy „Najnowszej historii politycznej Polski” Tomasza Poboga-Malinowskiego pożyczone mi w zaufaniu przez bliźniego znajomego. Wraz z kolegami z Instytutu, gdzie nikt już nie próbował mnie namówić na członkostwo w partii, chodziłem na pochody pierwszomajowe, bo tego od nas wymagano, ale traktowaliśmy to jako piknik. Począwszy od 1976 r. czytałem nielegalną bibułę dostarczaną mi przez kolegów. Kiedy wybuchły strajki na Wybrzeżu i powstała „Solidarność”, zostałem entuzjastycznym, aczkolwiek tylko szeregowym członkiem tej masowej organizacji.

Wylatując z Okęcia

pod koniec sierpnia 1981 r. do Nowego Jorku, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że właśnie skończył się kolejny etap mojego życia. Ówczesna żona, przebywająca na stypendium w Arizonie od ponad roku, przedłużony pobyt, poprosiła, żebym jej przywiózł nasze dwie córki, nad którymi przejmie opiekę na następny rok. Przez rok chodziłem do pracy i na zebrania „Solidarności”, biegałem na wywiadówki, stałem w kolejkach po to, co było do dostania w sklepach i wieczorami dorabiałem tłumaczeniami na angielski. Udało mi się dostać urlop bezpłatny na trzy miesiące i korzystając z liberalizacji w otrzymywaniu paszportów, polecałem „zaczepnąć świeżego powietrza”, jak wówczas nazywaliśmy wypadki na Zachód. Miałem zostawić córki i wrócić do pracy.

W krótkim czasie po znalezieniu się w Phoenix moje małżeństwo się rozpadło. Nie chcąc rozdzielać się od córek, nie wróciłem w przepisowym terminie. Ale póki małżeństwo formalnie trwało, udało mi się legalnie dostać pracę we własnym zawodzie na tak długo, jak wiza była ważna, a wraz z przedłużeniem wizy żony na następny rok moja też była przedłużona automatycznie. Stan wojenny w Polsce i wiadomość, że zostałem tam dyscyplinarnie zwolniony z pracy z powodu niestawienia się po urlopie, ostatecznie przypieczętowały, że nie wróciłem.

Pierwsze dni po ogłoszeniu stanu wojennego były okresem otrząsania się z szoku. Po kilku dniach wiadomości zaczęły powoli wydostawać się na świat. W telewizji oglądałem wielokrotnie powtarzaną migawkę filmowaną z wnętrza samochodu zawracanego przez ZOMO z drogi na lotnisko w Warszawie oraz widok czołgów na ulicach miast.

Zastanawiałem się nocami, czy ja rzeczywiście swój Naród zdradzam przez to, że natychmiast nie pakuję się z powrotem? Leżałem w nocy bezsenne, usiłując sam się ze sobą porachować. Czy ja w ogóle słusznie zrobiłem, wyjeżdżając z Polski? A może działałem po prostu wyłącznie z myślą o własnej wygodzie? Zapachniał mi Zachód, zarobki, dostatnie życie? Może już sprzeniewierzyłem się sam tym ideałom, które – jak mi się wydawało – miałem i które starałem się swoim dzieciom wszczepić? Nie potrafiłem w duszy pogodzić realizmu z honorem i etyką. Pokutowały u mnie całe lata wszczepiania przez propagandę państwową świadomości, że miejsce Polaka jest tylko w Polsce, a kto siedzi za granicą, jest renegatem, zdrajcą. Co myślą teraz o mnie koledy? Córki są dziecinne. Widzą taką Polskę, jakiej pragną; wszystko w niej idealizują, jak ja sam niegdyś w pld. Afryce. Ja przecież też kocham tę Polskę, w żadnym innym kraju na świecie nigdy nie będę czuł się tak, jak we własnym, ale teraz tam jest wojna. A może ja używam tego określenia dla usprawiedliwienia własnego sumienia? Przewracając się z boku na bok, biczo wałem się mentalnie, oskarżając i tłumacząc na przemian.

Dziś zastanawiam się, ile osób wówczas, znalazłszy się na Zachodzie, miało podobne wewnętrzne rozterki. Niektórym pozostanie za granicą przyszło łatwo, bez zastanawiania się, bez skrupułów. Ja, niestety, miałem je.

Ożeniłem się po raz drugi, z Polką z Warszawy, emigrantką, jak ja. Nasza córka, dziś dorosła, mówi płynnie i bez akcentu po polsku. Angażowaliśmy się w polonijne życie. Wspierany przez żonę organizowałem amatorskie imprezy teatralne o treściach patriotycznych i spotkania wspomnieniowe, uczyłem dzieci w polonijnej szkole. Pewna grupa starała się bardzo, by mnie oszkolować, wypomnieć trefne pochodzenie,

ostrzegać innych przede mną. Ich działalność skupiała się wokół polskiego kościoła. Na szczęście, nielicznie znaleźli zwolenników swoich teorii na mój temat.

Wiosną 1989 r. wydarzenia w Polsce nastąpiły po sobie niemal lawinowo. Okrążyły Stół, wybory czerwcowe i pierwszy niekomunistyczny rząd Tadeusza Mazowieckiego, potem przywrócenie ortu korony, wreszcie powrót do nazwy Rzeczpospolita Polska.

Niektórzy wykorzystali moment do dzielenia Polaków. Ci sami, którzy dziś usiłują wymazać z historii nazwisko Lecha Wałęsy, podczas pierwszych w pełni wolnych wyborów występował w lokalnej telewizji, perorując, że Polonia musi popierać tylko jego, jako jedyne go prawdziwego Polaka, jednocześnie sypiąc gromy na Tadeusza Mazowieckiego, rzekomego „kryptożyda”.

W 1992 r. przenieśliśmy się do Kanady, gdzie objąłem stanowisko w firmie wprowadzającej nową polską technologię utwardzania powierzchni stali. Zaczęliśmy nowe życie wśród znacznie liczniejszej Polonii, jeszcze intensywniej włączając się w polonijne życie. W polskim konsulacie organizowaliśmy koncerty polskich artystów, ja wygłaszałem pogadanki dla dzieci i młodzieży w polskich szkołach, pisałem artykuły do polskiego dziennika wychodzącego w Toronto.

Odwiedzałem nową Polskę,

z każdą wizytą podziwiając widoczne zmiany na lepsze. Obserwowałem szeroką ofertę handlową i widoczną poprawę kultury w sklepach, cieszyłem się z kolejnych przedłużeń linii warszawskiego metra, doceniałem wyższą klasę pociągów InterCity, fotografowałem coraz to nowe wieżowce. Widziałem, jak bardzo zmienia się polski krajobraz. Ale przede wszystkim czułem tę nowoczesną europejską kulturę, która emanowała z ulicznych wystaw fotograficznych, z publicznych prelekcji i sztuk teatralnych, na które chodziłem, kiedy tam byłem.

We wrześniu 2001 r. moja praca zawodowa przeniosła nas z Montrealu do okolic Toronto, gdzie do dziś mieszkamy. Tu zaczęła się moja współpraca z gazetą „Gazeta”, jedyną piszącą w duchu zgodnym z moim poczuciem przyzwoitości politycznej. Przez dziesięć kolejnych lat byłem cotygodniowym felietonistą, komentując wydarzenia lokalne i z Polski. Uczestniczyłem w działalności organizacji kulturalnych. W Konsulacie Generalnym RP byliśmy stałymi gośćmi spotkań o tematyce historycznej i artystycznej. A Polska cały czas rozwijała się i osiągała nowe sukcesy.

Podziały polityczne wśród Polonii zintensyfikowały się przy okazji wchodzenia Polski do Unii Europejskiej. Na zebraniu informacyjnym zorganizowanym przez Konsulat pewna grupa, zdeterminowana, żeby zebranie zakłócać,

rozdawała ulotki antyunijne o niewybrednej treści, wykrzykując na prelegentów, że to Żydzi. Jeden z tej grupy, dopuszczony do mikrofonu, powiedział, że jest przeciwny Unii Europejskiej, ponieważ... „Stolzman sobie zmienił nazwisko na Kwaśniewski”.

Dwa lata rządów IV RP oglądaliśmy z Kanady z poczuciem zawstyżenia, że język w polskim parlamencie mógł się stać tak nieparlamentarny. Do tej pory nie interesowało mnie, która koalicja jest u władzy, ponieważ wpływ na codzienne życie obywateli polskich w kraju i na emigracji był znikomy. Patrzyłem tylko z rosnącym niepokojem na ksenofobiczne wypowiedzi z Radia Maryja, ale przyjaciele z Polski uspokajali mnie, że to margines bez znaczenia, którego prawie nikt nie słucha. A jednak nowy prezydent dziękował o. Rydzykowi za poparcie, a cały rząd tryumfalnie jechał do Torunia, by stamtąd przemawiać do narodu. We mnie budziło to obawy. Ale mimo wszystko nie bałem się, że demokracja jest zagrożona. Oddanie władzy nastąpiło pokojowo. Wielu kamień spadł z serca.

W dniu 7 kwietnia 2010 r. zaproszony do składu delegacji przez premiera Tuska poleciałem tupolewem 101 do Smoleńska i uczestniczyłem w emocjonalnym dla mnie upamiętnieniu ofiar katyńskich. Trzy dni później, oniemiały z powodu tragedii, składałem kwiaty pod Pałacem Prezydenckim i przeżywałem to, co wszyscy Polacy. Teorie spiskowe pojawiły się natychmiast i kiedy wróciłem do Kanady, już zarysowywał się podział w społeczeństwie w kraju i na emigracji. Ludzie uspokajali mnie, że tzw. sekta smoleńska jest nieliczna i nikt ich na serio nie bierze. A jednak widziałem, że zwolenników absurdałnych teorii o zamachu przybywa.

Raz oglądałem program w telewizji, w której prelegent pochwalił Polskę za największy postęp w kwestii uczciwego rozliczenia swojej przeszłości. Takie stwierdzenie cieszyło i słysząc te słowa, czułem dumę. Dumę ze swojej ojczyzny za to, że poważni historycy zdobywają się na uczciwość. Każda wizyta w Polsce pokazywała mi tempo, w jakim Polska nowoczesnie, rozkwita. Ludzie, których znam, mogli sobie wyskoczyć na weekend do Francji czy Włoch. Ogródki restauracyjne na ulicach, nowoczesne muzea, przepiękne, eleganckie galerie handlowe. Bywały momenty, że nawet trochę żałowałem, iż nie wróciłem niegdyś do Polski, która teraz była nowoczesnym krajem. Z drugiej strony przygnębiał postępujący podział społeczeństwa. Zdarzało mi się usłyszeć słowa świętego oburzenia, kiedy podczas wizyty w Polsce komuś powiedziałem, że nie wierzę w zamach.

Oglądałem w swoim kanadyjskim domu codziennie „Wiadomości” w TV Polonia. W naszej dzielnicy tzw. provider nie oferował kanału TVN24, ale słyszeliśmy od niektórych

przyjaciół, że jest to bardzo dobry program. Na „Wiadomości” nie narzekaliśmy. Profesjonalne, żywo prowadzone, uczciwe. Można w nich było usłyszeć opinie ze sobą sprzeczne, ale prezenterzy budzili zaufanie. Ucztą dla ducha była „Hala odlotów” i „Kulturalni PL”. W każdą niedzielę moim ulubionym programem był „Tygodnik”, emitowany na żywo, w którym omawiano najważniejsze wydarzenia ostatniego tygodnia.

Pod koniec lata 2015 roku wybraliśmy się na urlop do Polski. Było to już po szoku, jaki przeżyliśmy w związku z porażką prezydenta Bronisława Komorowskiego w wyborach prezydenckich. Ówczesna opozycja, przygotowując się do przejęcia władzy, rozpisywała się o „Polsce w ruinie”. My widzieliśmy obraz diametralnie inny. Tętniąca życiem Warszawa, wszędzie uśmiechnięci ludzie, przeuroczy Gdańsk, rozbrzmiewający różnymi językami turystów Kraków. Supernowoczesne i wygodne pendolino. Gdzie ta ruina? Niektórzy przyjaciele byli przeżeni perspektywą zmiany władzy, inni uspokajali, tłumacząc, że „oni teraz mogą dużo gadać, ale jak już przejmą ster, to wiadomo, że nie będą mogli”. Ja do optymistów w tej kwestii nie należałem, dla mnie enuncjacje o ruinie i o rzekomym antypolskim, jeszcze urzędującym rządzie nie były normalne i nie wróżyły niczego dobrego. No i nastąpiła zmiana. Wydarzenia ostatnich miesięcy

i ich skutki znane są wszystkim. Przerażeniem ogarnia postępująca ksenofobia, nieskrępowany rasizm kiboli, często stawianych za wzór jako „patrioci”, i hipokryzja. Ukoronowaniem „dobrej zmiany” jest totalna izolacja Polski na arenie Unii Europejskiej przy wyborze Donalda Tuska i przerażające zmiany w organizacji polskiej armii. Nie jestem dzieckiem i nie mam żadnej satysfakcji w powtarzaniu: „a nie mówiłem?”. Dumny mogę być z postawy wielu moich przyjaciół, z tłumów uczestniczących w manifestacjach KOD, z niezłomnej postawy kobiet walczących o odbieranie im prawa, z wielu nieulekniomych sędziów, z uczciwych dziennikarzy. Czuję ogromny szacunek dla Stowarzyszenia „Nigdy Więcej”, które dzisiaj w tak trudnych warunkach dokumentuje coraz liczniejsze i bezkarne ekscesy rasistowskie i walczy z nimi piórem i słowem. Ale to już nie jest ta Polska, z której mogę być w pełni dumny, bo za jej część odczuwam wstyd i ból. Moje emocje związane z krajem mojego urodzenia, dzieciństwa i części życia ponownie powodują huśtawkę i rozterki. Czy znów mamy się na długi czas pożegnać z nowoczesną, przyjazną, NASZĄ Polską? Taką, do której chce się wracać, choćby z wizytą? Quo vadis, Poloniae?

WITOLD LILIENTAL
Ontario, 24 maja 2017 r.